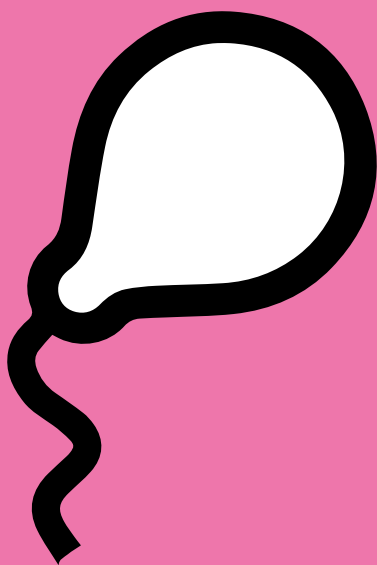


Kateryna Babkina  
Sonia



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!



*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na  
[www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wschodni Express  
Seria wydawnicza



HI

R

Kateryna Babkina

# *Sonia*

Przełożył Bohdan Zadura

Warsztaty Kultury

Lublin 2022



Tak w ogóle to życie jej się podobało. Od kwietnia do września lizało ją słońce, pozostawiając pod skórą przyjemne łąskotanie i mieszając na Soni ulotne pastelowe ciepłe odcienie. Kolor wychodził taki, jaki ma wypalona trawa czy gorąca herbata z jamajskim rumem, odbicie porannego księżyca w zielonkawej wodzie nagrzanego płytkiego jeziora czy piasek na odsłoniętych latem głębokościach. Od października do marca słońce lizało Sonię tak samo, tyle że przez ubranie, i to też ją całkowicie zadowalało. Cienkie niezauważalne włoski na łydkach i rękach, których nigdy się nie pozbywała, były przezroczyste. Mężczyźni lubili na nie dmuchać i patrzeć, jak drżą. Czasem w ciemności te włoski świeciły, jakby przebiegały przez nie niezauważalny cielesny prąd.

Pieniądzy nie miała prawie nigdy. Nie to, żeby Sonia nie była zdolna do pracy – po prostu takie życie też się jej podobało. Dwa razy w roku myła skromne okno w kuchni i wielkie okno w nieprawdopodobnie małym pokoju, który zdawał się zaprojektowany tak, żeby w nim żyć w górę, ściany wznosiły się na wysokość aż trzech Soń, co uniemożliwiało wymianę żarówek i uważne przyglądanie się ciemnoskrzydłym, niezgrabnym nocnym motylom. Dlatego Sonia lubiła wszelkie żyrandole, oglądała motyle na obrazach i fotografiach. I jeszcze dwa razy w roku Sonia myła cudze okna, a potem za „wymyte” pieniądze kupowała sobie lekkie powiewne sukienki, sandały z second handu, naszyjniki z emalii i czasem srebrne łańcuszki, które owijała wokół nadgarstków. Kiedy Sonia malowała, łańcuszki cicho pobrzękiwały. W zimie Sonia zaparzała zioła i podawała do nich robione latem – z najbardziej nieprawdopodobnych rzeczy, przeważnie jednak z owoców i kwiatów – powidła, konfitury i dżemy. Te, których nie podawała – zawoziła do sklepiku przyjaciela. Za pieniądze ze sklepiku za te dżemy kupowała włóczkę i robiła z niej swetry i czapki, szaliki, rękawiczki, wysokie skarpetki, które pasowały jej niewiarygodnie – zwłaszcza

jeśli prócz nich nie ubierała się w nic. Te skarpetki, czapki, rękawiczki, mufki, swetry i kołnierze, które wydziergała, ale ich nie nosiła z czymś innym czy bez niczego innego – rozdawała. No, i Bóg z nimi, z pieniędzmi.

Sonia z wprawą prowadziła jasne, obszerne, lśniące auto marki WAZ, jasnozielone, okrągłookie, jakoś wzruszające i beznadziejne. Pachniało w nim radzieckim dzieciństwem, wyjazdami nad rzekę z badmintonem, piłką, dywanami do wyczyszczenia i wielką białą miednicą, w której to, zamiast w rzece, pływała całkiem jeszcze nieduża Sonia, póki mama prała dywany, dziadek mrużył oczy, obierając jabłka, a czyjeś białe i czarne kozy szwendały się w nadbrzeżnej wiklinie; pachniało jesiennymi wyprawami na grzyby i po dziką różę, które potem w domu suszono – te pierwsze jak naszyjnik, na nitkach, wysoko w kuchni, a tę drugą – rozrzuconą na parapetach, pomarańczową, nieprzyjemną, paskudną w środku – jak grudki szklanej waty w jaskrawej żelatynowej osłonce; pachniało też nocnym odprowadzaniem na pociąg jadący nad morze, gdzie chorowało się na szkarlatynę, mieszkało w prywatnych kwaterach i w jadalniach z najbardziej zygzakowatymi jadowitymi żmijami kolejek jadło zupę charczo; pachniało gumowymi kaloszami, skrzynkami z jabłkami, deszczem przeciekającym przez stare uszczelki w oknach, i zawsze trochę benzyną, bo pompę paliwową Sonia przykręciła sama. Samochód miał tyle lat, co Sonia, ale ona uważała, że to niewiele.

Sonia zawsze wszystkich podwoziła, zwłaszcza przyjaciół – wraz z instrumentami muzycznymi na koncerty i z obrazami na wystawy, z notebookami, projektorami i ekranami na prezentacje, z ubraniami na pokazy, z wizażystowskimi walizkami na sesje fotograficzne i po prostu z walizkami na lotnisko. I takich bez niczego, pijanych, pogubionych, śmiesznych, wesołych podwoziła także. Nie było jej ciężko. Za to przyjaciele i inni ludzie dawali Soni piękne rzeczy – malutkie,



prawie nieużywane półeczki z IKEI, kubeczki z Butlers, kieliszki z restauracji, dawali też prawie nowe flakony perfum, swetry i koszulki z All Saints, Therapy czy Bolongaro Trevor, a pewnego razu nawet sukienkę z Comme des Garçons, którą można nosić na wiele sposobów, i okulary Balenciaga. To dlatego Sonia zawsze była najpiękniejsza. Chociaż istnieje podejrzenie, że Sonia była najpiękniejsza z innego powodu. Malowała Sonia przeważnie siebie samą. Do czasopism, stron internetowych, wydawnictw i plakatów, logotypów, książek dla dzieci, własnymi rękami i w Photoshopie Sonia malowała Sonię. Czasami Sonia była czarna, czasami blond. Czasami krótko obcięta, czasami z długimi włosami. Czasami ubrana ładnie i ze smakiem, a czasami naga i z bezwstydnie rozchyłonymi nogami (było i tak). Czasami Sonia była dzieckiem, które wykonuje różne akrobatyczne ćwiczenia z literami do elementarza, a czasami mężczyzną. Ale zawsze to ewidentnie była Sonia.

Sonia chodziła na imprezy.

Sonia uczyła się języków na kursach, czasami niemieckiego, czasami francuskiego.

Sonia łamała obscasy i załamywała ręce ze śmiechem, kiedy obscasy się łamały.

Sonia miała zaświadczenie o tym, że może uczyć języka migowego i nie miała żadnego pojęcia o języku migowym.

Sonia się zakochiwała.

Sonia miała certyfikat o ukończeniu kursu z historii, co prawda, nie wyszczególniono w nim, czego historia ta dotyczyła – czasem Sonia mówiła, że to historia wszechświata, czasem, że to historia z psem w nocy, czasem – że historia zapytań ofertowych, a czasem, że historia kultury początku stulecia\*.

\* Nawiązanie do tytułu tomu wierszy Serhija Żadana *Historia kultury początku stulecia*, 2003 (wyd. polskie 2005) – przypis tłumacza.

Sonia często marzyła.

Sonia miała klucze od gołębnika, mało tego, w podwórzu jej stalinówki też był gołębnik. Sonia zawsze była życzliwa dla starych ludzi, nawet czasami ze szkodą dla siebie samej.

Sonia zawsze kończyła, kiedy się kochała, a czasami nawet, kiedy nie.

Sonia nigdy nie myślała o tym, że mogłoby być lepiej, niż jest.

Sonia śmiesznie tańczyła i sprawiało to jej satysfakcję.

Sonia nie chciała nigdy nikogo oszukać, więc kiedy oszukała – a Sonia oszukiwała stale – to potem przychodziła i mówiła całą prawdę. Sonia bała się wielu rzeczy, na przykład samotności, starości, niespodziewanych kontroli drogowych, niewyjścia za mąż, tego, że zacznie źle malować, zostanie przyłapaną na tym, że czegoś nie wie, pozostanie na całe lato w mieście, zgubi telefon, nie wykorzysta wszystkich wykupionych godzin na basenie, rozmów z ludźmi, od których zależy jej życie, ale czasami Sonia była też zupełnie bezwstydną, i to bardzo jej pomagało.

Wszystko było takie dobre.

Co z tego wszystkiego nie spodobało się Luisowi – było niejasne.

– I dokąd on pojechał? – pytała Katia, siorbiąc w kuchni Soni z koktajlowej szklanki konfiturę rozproszoną wodą z lodem. Sonia wzruszała złotymi ramionami. Siedziały w samej bieliźnie – nowo narodzony maj był jak późny lipiec, klimatyzacji Sonia nie miała.

– „Nie kocham cię więcej” – przeczytała Eteri z mocno wytartej już kartki – przez ostatnie kilka godzin przekazywały ją sobie z rąk do rąk. – „To byłoby nieuczciwe. Postaraj się mi wybaczyć”. Tak?

– Tak – powiedziała Sonia. Teraz uczyła się francuskiego, i Luis napisał do niej też po francusku.

- A więc jest napisane - „nie Kocham cię więcej”? - po raz drugi upewniła się Nastia.

- Dla mnie „mniej” też brzmiałoby naturalnie - powiedziała Sonia i wszystkie zamilkły.

- I dokąd on pojechał? - znowu zapytała Katia. Poza kuchnią Soni Katia odpowiadała za komunikację klientów z дизайнерami, zawsze więc wielokrotnie zadawała pytania, dopóki nie uzyskała odpowiedzi. Eteri łykała ze swojej szklanki i to nie konfiturę z wodą, a koniak. Bielizny latem Eteri nie nosiła, więc siedziała naga, nie czując z tego powodu żadnego dyskomfortu. Piersi Eteri były ciężkie, z ciemnymi sutkami. Eteri miała prawie trzydzieści lat, a czym się zajmowała, nikt nie miał pojęcia.

- Do pracy pojechał - powiedziała Eteri - wrócił do swego Lille. Ile tu siedział i robił te swoje badania? Rok. A ile miał siedzieć?

- Rok - z rezygnacją powiedziała Sonia. - No i ja też nie Kocham go więcej. Kocham go tak samo jak wcześniej - ani więcej, ani mniej.

- Przecież on cię wykorzystał - powiedziała Nastia i oczy jej zwilgotniały. - Nastia miała małe dziecko i wszystko brała sobie do serca, zwłaszcza kiedy zbliżała się ustalona pora karmienia i zewnętrzny nacisk na serce się zwiększał.

- Zapłacił za wszystko? - zapytała Katia.

- Za co zapłacił? - popatrzyła na nią Sonia.

- Nie wiem. No za coś chyba zapłacił.

- Wyrodek - podsumowała Eteri.

- Jak był, to ze mną coś takiego się działo - powiedziała Sonia - że serce pęka. Nigdy się nie kłóciliśmy. Wszystko, co on robił, było dobre.

- Niczego dobrego nie robił - zauważyła Eteri.

- Jeździliśmy do Paryża - powiedziała Sonia. - Wszystko mi opowiadał i pokazywał. Gdzie mieszkał i gdzie chodził do szkoły, i gdzie pracował w przedszkolu - właśnie tak

dokładnie go sobie wyobrażałam, wysokiego, opalonego, z tymi maleńkimi dziećmi, czarnymi czemuś, może dlatego, że to było Château-Rouge, a tam wszyscy byli czarni. I jeszcze ten dom, w którym się wychował, dom, jakby cały zamieszkały przez jego próżną, niemogącą usiedzieć na miejscu rudą siostrę śpiewaczkę z białymi zębami i gęstymi brwiami; tam wstajesz rano i podchodzisz boso do okna w sypialni, a za oknem ogródek dwa na dwa metry, w ogródku – stare krzesło i marokański stolik, a gdzieś za krzakami ulica i pachnie chlebem i mydłem. I jego ojciec jest pochowany na Père-Lachaise, a matka w sześćdziesiątym ósmym rzucała kostką brukową i krzyczała, że pod brukiem jest plaża. I butelkami z substancją zapalającą też rzucała, a ja nikogo takiego nie mam. Chodziliśmy na spacer do Belleville – tam jest dokładnie tak jak w *Trio z Belleville*, i do dzielnicy chińskiej, a tam są lampiony i też czemuś wszyscy czarni, i jeszcze po ulicy Ménilmontant, i on mi śpiewał – mają taką piosenkę: „Madame, tu na tej ulicy, kiedyś straciłem serce, ale znalazłem nowy płomień, który mnie unosi”, i tak dalej, albo może wymyślam, ale jest taka piosenka.

Nastia pochlipywała.

– Wszystko tak mi się podobało, i te jego żarty, i to, że mogłam po prostu cieszyć się każdym słowem, które on wypowiadał, i każdym zdaniem, które pisał. Podobało mi się, że najbardziej mi się podobają jego ulubione miejsca, i że zawsze smakuje mi jedzenie, które on wybiera, i że zawsze plan spacerów i plan życia, które on przedstawiał, były bardzo obiecujące, i że dla mnie jest ciekawe i korzystne wszystko, co ze mną się dzieje, kiedy z nim jestem. I że lubię, jak układają się jego włosy, i jak rośnie mu skórka wokół paznokci na rękach i na nogach, i jak on wyjmuje soczewki minus 5 każdego wieczora, zakłada okulary, robi się całkiem inny, taki swój, i jak pomnaża na lokacie pieniądze, żeby odnowić stary rodzinny dom na południu, i jak chce się nauczyć robić

i odnawiać meble, jak mi jest wszystko jedno, czy ma pieniądze i czy kiedyś będzie je miał, i jak rapuje w parze z sąsiadem, i nawet jak pijany trzyma plecy prosto niby tancerz, i je nożem i widelcem, jakby całe życie tak jadł, i je rękami, jakby był małpą, i jaki ma kaloryfer na brzuchu, jakie doskonałe i proporcjonalne ciało, jak zmięte koszule rozprostowują się na jego ramionach, i jak o poranku światło przebija się przez rolety i błyszczą na jego przedramionach i na kolanach. I najważniejsze – że on cały ze mną był. To mi się podobało.

– Przynajmniej to może ci się już nie podobać – powiedziała Eteri. – To podejrzane. Moim zdaniem ty po prostu potrzebujesz kogoś, żeby o nim dobrze myśleć.

Katia dopiła konfitury. Eteri odlała jej trochę koniaku ze swojej szklanki.

– Jakbym cały czas tańczyła, nawet kiedy spałam czy malowałam, a malowałam wtedy tak dużo. I nawet czytałam jego badania, chociaż, prawdę mówiąc, więcej rozumiem po niemiecku. Kiedy spał, patrzyłam, jak pełźnie po nim światło. Kiedy mnie dotykał – we mnie jakby zaczynały pływać kwiaty czereśni, świecący plankton i maleńkie meduzki. Robiłam się jakaś taka, że na ulicy wszyscy się za mną oglądali, kiedy szliśmy razem.

– Za tobą i tak wszyscy się oglądają, Soniu – powiedziała Eteri.

– Nie wiem, co mam bez niego robić. Jakbym się zamknęła. To taka miłość? – Jaka naprawdę jest miłość, Sonia czemuś zapomniała, a bez tego trudno było jej połączyć się w szczegółach.

– Nie, taka to do kitu – powiedziała Eteri.

Potem odwiozły Nastię do domu, następnie pojechały do lasu. Las świecił się od środka.

Sonia wyłączyła światła, siedziały ogarnięte wilgotną nocą i patrzyły, jak między pobliskimi drzewami pulsuje

grudka kolorowego od reflektorów dymu, i sylwetki ludzi wyginają się, poruszają, podnoszą ręce. Czasami sylwetki wychodziły z jasnego dymu i szły w mrok – pojedynczo, żeby się odlać, albo po dwie czy po kilka – w różnych zamiarach. Muzyka dopływała jakby z bardzo daleka, ginęła pośród pni, krzaków i młodej zieleni, a majowa noc była cała wokół nich, z wszystkimi swymi maleńkimi zgrabnymi, gęstymi dźwiękami – szelestami, kroplami, cichym przeciekaniem soków drzew, trzaskiem namnażania się komórek w nowym liściu, oddechami wilgotnej ziemi. Ciemne niebo położyło się na las i tarło oń miękkim brzuchem.

- No właśnie – powiedziała Sonia. – Serce pęka.

Jednak możliwe, że serce pękało w niej nie przez Luisa, a tak po prostu.

- A czy wy wiecie, co u Heny? – nie wytrzymała Katia.

- Co u Heny? – spytała Eteri.

- Hena jest skończony – powiedziała Katia. Potem opowiedziała. Bez wątpienia skończony Hena, kiedy minęły obowiązkowe dwa tygodnie niezobowiązujących spotkań, tępych bezsensownych postów, nocnych telefonów po pijanemu i wzajemnych wyobrażeń, od których zakochanie rozdyma się gdzieś pod żołądkiem jak błękitna świecąca żarówka z wstążkami ciepłego oddechu wewnątrz, przywiózł Katię do domu, zaparkował niby to na całą noc, objął ją za szyję i powiedział poważnie:

- Chcesz? Nauczę cię latać. – Tak dokładnie powiedział.

- Może to metafora? – spytała Eteri.

- To jest możliwe – powiedział – wiem, jak.

- Może po prostu coś sobie zaaplikował?

- Nic sobie nie zaaplikował, jest przeciwny substancjom.

- Przeciwny zupełnie wszystkim substancjom? – zapytała

Sonia.

- Nie, tylko niektórym.

- No i co? – spytała Eteri.

- Nic - smutno odpowiedziała Katia. - Po prostu jest skończony. Skończony w sensie klinicznym, no, chory. Ja się takich boję, oni zostają potem prześladowcami albo maniakami-zabójcami.

- To nie bardzo ci zależało - powiedziała Eteri.

- Tak - powiedziała Katia, choć naprawdę zależało jej bardzo.

Sonia wyszła z samochodu na trawę, było jej zimno i niepewnie w lekkich sandałach. Wysoko podnosząc nogi, podążyła w kierunku światła i muzyki, za każdym krokiem krople z łydyg wypryskiwały spod sandałów i dzwoniły srebrne bransolety, jakby tworząc dźwięk, od którego Soni rozrywało się serce. Katia i Eteri szły za nią, nie dzwoniły, pachniały perfumami, wydychając w noc motyle swoich różnych oczekiwań. Potem wszystkie trzy weszły w kolorowy dym imprezy.

Kiedy Sonia tańczyła, pasma jej włosów jakby zawisały w powietrzu wokół jej głowy i ramion i tylko kołysały się w rytm ruchów jej ciała. Sonia zamknęła oczy i wsłuchała się w to, co dzieje się niej bez Luisa. Ale w niej bez Luisa nie działo się nic. Jakaś dźwięczna pustka ścierpła w środku, chłodna i gorzka, starała się przypomnieć sobie jego twarz, ale nie mogła. Sonia starała się odtworzyć w pamięci ruch, kiedy on odwraca głowę, ale pamięć podsuwała w zamian jakieś inne ruchy - jak się wiąże węzeł holowniczy, jak podskakują pod T-shirtem piersi Eteri, jak uruchamia się Photoshop, jak przesuwają się budynki i drzewa w lusterku wstecznym. Sonia spięta się i chciała wyobrazić sobie Luisa, jego postawę, włosy, ręce, kolor koszuli, uśmiech, zmrużone oczy i zmarszczki wokół nich, ale pamięć zbierała jakieś cudze, przypadkowe rysy, i oto na Sonię patrzył wyobrażony niespodziewany, nieprzyjemny mężczyzna, złożony z poszczególnych kawałków, zbyt wyraźnych, i gdyby naprawdę złożyć je razem - podobny do męża lalki Barbie, powiększonego do ludzkich rozmiarów.